

ROZMOWA Z ZOFIĄ KUCÓWNĄ

# BEZ WIARY ANI RUSZ

**BEATA KĘCZKOWSKA, DOROTA WYŻYŃSKA:** Coraz rzadziej oglądamy Panią w telewizji. Czasem powtórzą stary film z Zofią Kucówną, czasem – spektakl sprzed lat z Pani udziałem. Nie dotrą do Pani nowych propozycji czy świątynie od nich ucieka?

**ZOFIA KUCÓWNA:** Bardzo lubiłam pracę w telewizji. Wymagała innych środków wyrazu, bardziej intymnych, takich, jakich żądał ówczesny film. Więc te „zdmity” teatru dla kamery stawały się ekscytującymi, krótkotrwałymi, lecz częstymi romansami. Mam za sobą piękną telewizyjną przeszłość i wspominam ją z czułością taką, jaką darzy się flirty. Dziś? No cóż... „Do tanga trzeba dwojga” – jak mówi popularna piosenka.

**Czego brakuje Pani z telewizji dawnych lat?**

■ Jako aktorce – propozycji. Jako widzowi – romantycznej magii „na żywo” robionego programu. Mimo ubogiej techniki to była artystycznie dobra telewizja. Obecnie mamy luksus w postaci kilkunastu kolorowych kanałów, ale mamy też kusiciela pilota. Sama wiele razy przyłapuję się na tym, że śledzę trzy programy naraz. To już nie jest uczestniczenie w zdarzeniu, lecz podglądanie go jak przez dziurkę od klucza. Powierzchniowo. Bez skupienia. Reklamy też mają w tym swój udział. Zdarza się Pani oglądać najnowsze seriale telewizyjne: telenowe, sitcomy?

■ Od czasu do czasu. To obowiązek zawodowy. Ale nie śledzę kolejnych odcinków. Nie mam na to czasu ani cierpliwości. Sitcomy? Zdecydowanie nie przepadam. Lubię natomiast niektóre seriale. Te, które są skonstruowane wedle starej, a słusznej zasady: początek, rozwinięcie akcji, konflikt, zakończenie, puenta jak po frazie, w wierszu.

**Gdyby zaproponowano Pani rolę w jednym z tych tasiemców, to...?**

■ Rola, którą mi proponowano nie przypadła mi do serca. Potem nigdy już oferta się nie powtórzyła.

**A Teatr Telewizji?**

■ Mam wątpliwości, czy to, co nazywamy dziś Teatrem Telewizji, jest nim w istocie. Nazwa powstała pół wieku temu i tyczyła zupełnie innego zdarzenia artystycznego akceptującego umowność teatralną. Obecnie to są raczej filmy kręcone szybko, niedbale, w plenerach, w naturalnych wnętrzach, filmowymi kamerami, filmową manierą. Również gra aktorów naśladuje mały codzienny realizm, nawet w klasycie wierszem pisanej. Rezultat jest taki, że młodzi i niedoświadczeni aktorzy przenoszą tę manierę filmowo-telewizyjną do teatru, na scenę. Publiczność narze-

ka, że nie słyszy tekstu, że nie rozumie, bo aktorzy nie umieją mówić, albo podejrzewa, że nie znają tekstu, bo się zacinają lub powtarzają jeden wyraz lub zdanie kilka razy, że postaci są mało wyraziste. Ciągłe jestem pytana: „Czego wy w tej szkole uczycie studentów?”. Może i źle uczymy?

Do niedawna nie było wyraźnych podziałów na aktorów filmowych i teatralnych. Obsługiwaliśmy wszystkie możliwe miejsca pracy. Uczyliśmy się rozróżniać wymagania tych miejsc. Dziś wielu młodszych kolegów dokonało już wyboru. Jedni, otrzymując dużo propozycji z filmu, zrezygnowali z teatru, dla innych teatr jest jedynym miejscem pracy, jeszcze inni zatrudnili się w reklamie. Ale wszyscy urodzili się w teatrze, i od teatru zaczęli. Mówię o aktorach z prawdziwego zdarzenia, nie o popolitym ruszeniu amatorskim. Szkoły przyuczają młodych ludzi przede wszystkim do pracy w teatrze, bo to jest na razie jedyna baza zawodowości.

**A czego Pani w Akademii Teatralnej uczy dziś swoich studentów?**

■ Uczę ich tego, czego mnie nauczyli, czego przez 45 lat pracy nauczyłam się sama lub co podpatrywałam u kolegów, i to niekoniecznie starszych od siebie, choć od nich przede wszystkim. W szkole najchętniej pracuję z młodzieżą na tekstach pisanych wierszem. Trzynasto-, jedenasto-, ośmiozłogłoskowiec

to najczęstsze w polskiej dramaturgii metry. Rygor wpisany w rytm wymaga zdyscyplinowanego mównienia. Dzięki wierszowi można wypracować szerszą skalę głosu. Wiersz wymaga fachowego oddychania. Fraza, modulacja, intonacja, przekładnia, średniówka – to są konkrety. Interpretację znaczeniową często pozostawiam do ich indywidualnej dyspozycji na miarę ich wieku, doświadczenia życiowego, inteligencji, czytania, kultury osobistej. To są wartości zmienne w miarę posuwania się w dojrzałość. Bo co innego znaczy słowo „miłość” lub „ojczyzna” dla mnie, a co innego dla nich. Natomiast czysto zawodowe, rzemieślnicze sprawy traktuję jak trespę. To są ćwiczenia jak w balecie, jak w muzyce.

Ja i tak w stosunku do tego, czego uczył profesor Władysław Woźnik w szkole aktorskiej w Krakowie, poczytna ustępstwa i rozluźniłam rygor. Po prof. Woźniku przejęłam walkę z pokazywaniem nastrojów przez sentymentalne poetyzowanie i emocjonalne przydechy. Ekspresja tak, ale prawdziwa, organiczna, taka na „hamowanym bebecchu” – jak mówił profesor.

**Studenci poddają się tej dyscyplinie?**



■ Czasem się buntują. Powołują się na innych belfrów, od których słyszą, że bywali, „jak czują”. To jest ich interpretacja metod moich kolegów. No i dobrze – mówię. U kogo innego grajcie sobie, jak czujecie, a u mnie dopiero wtedy, kiedy podstawowe wymogi zostaną jako tako spełnione. Nie znaczy wcale, że lekceważę intuicję. O nie! To fantastyczna, tajemnicza siła, która z aktora czyni artystę. Ale żeby nim zostać, nie zaszkodzi być najpierw tylko aktorem.

**Przegląda się Pani karierom swoich studentów?**

■ Oczywiście. Przeżywam ich losy, może nawet bardziej niż swoje obecne. Moja „Morowa trzynastka”, która skończyła Akademię Teatralną w ubiegłym roku, rozjechała się po Polsce. Kilkoro zostało w Warszawie. Jedni dają sobie radę, inni mniej... A aktor, który nie gra, gaśnie. I dzieje się tak nie tylko na początku, ale i na końcu zawodowej drogi.

**Jak Pani ocenia ich start? Był trudniejszy niż Pani?**

■ O wiele...

**Czy w czasie studiów mieli dylematy, przychodzili, radzili się, czy iść na casting, zagrać w sitcomie?**

■ Bardzo często. Mówili: „Szkola pobudziła w nas ambicje robienia ambit-

nej sztuki, ale nie mam pieniędzy, dostałam rolę w sitcomie, brać?”. „Oczywiście, brać” – mówiłam, choć bałam się jak diabli, bo taki przedłużający się serialik może zniszczyć niezaczęte jeszcze życie zawodowe. Natomiast do filmów, do Teatru Telewizji puszczałam bez obaw po pierwszym roku. Zdawałam sobie sprawę, że im wcześniej wejść na rynek, tym dla nich lepiej. Im wcześniej dają się poznać, tym szybciej wybija się na tych, którzy będą mieli prawo dyktować warunki i wybierać oferty. Niektórzy idą po kamieniach. Wielu odpadnie. I ta świadomość boli.

**Czy dzisiaj rzeczywiście jedyną szansą, żeby świat usłyszał o młodym aktorze, jest serial czy wielka produkcja filmowa?**

■ Właściwie tak, ale są wyjątki. Np. Maja Ostaszewska bardzo się pilnuje, bardzo pięknie prowadzi swoje zawodowe sprawy. Istnieje w naszej świadomości nie dzięki serialowi, ale poprzez bardzo ambitne spektakle telewizyjne, filmy. Dominika Ostalowska, zanim zagrała w serialu, też pokazała się w ambitnych produkcjach. Mogę wymienić kilkanaście takich nazwisk. Ale tak naprawdę dziś rządzi ekran. I nie tylko w tym zawodzie. W świadomości społecznej istnieje ten, kto pokazuje się w telewizji. Stąd taki straszny pęd ludzi, żeby wziąć udział w programie „Big Brother”. Człowiek, który często pokazuje się w telewizji, wyróżnia się wśród przeciętnych ludzi, choć sam przed sekundą do nich należał.

**A jak było kiedyś? Kiedy Pani poczuła: jestem popularna, rozpoznają mnie na ulicy? Co o tym zdecydowało?**

■ Oczywiście telewizja. Startowałam w teatrze, kiedy w Polsce telewizji właściwie nie było. Była eksperymentem na wieży Pałacu Kultury i Nauki. Po moim przyjeździe do Warszawy pod koniec lat 50. nastąpił jej wybuch. Zaczęłam i ja występować. W Teatrze TV, w Kobrach, w programach poetyckich, w bajkach dla dzieci, w kabaretach. I śpiewałam piosenki – to one przyniosły mi tę popularność uliczną. Nagrywałam dla TV i radia m.in. rozkosznego „Kazia” z Kabaretu Starszych Panów, który stał się przebojem. Piosenka w tamtych latach była najlepszym sposobem na zdobycie popularności. Na

basenie w Ciechocinku nie mogłam się opędzić. W kostiumie kąpielowym na leżaku bez przerwy rozdawałam autografy. Cieszyło mnie to, bo czułam się prawie jak gwiazda z Hollywood, ale za chwilę zmęczyłam się tym, zwinęłam walizki i wyjechałam. Moja próżność została zaspokojona. Poznałam jej smak.

Następny rzut popularności przyniosły mi w telewizji „Opowieści mojej żony”, piętnaście piętnastominutowych miniaturowych Miroslawa Żuławskiego. Taki serialik.

**W swojej ostatniej książce „Zapach szminki” wyznaje Pani, że chciała Pani być pianistką, dentystką, historykiem sztuki. A aktorką została Pani przypadkiem.**

■ Święta prawda. Długo szukałam dla siebie miejsca w świecie. Nawet kiedy byłam w szkole aktorskiej, nie do końca wierzyłam w słuszność swojego wyboru. Dopiero w teatrze, kiedy spotkałam się oko w oko z publicznością, z jej energią, poczułam smak i wartość tej profesji. Jej siłę i magię.

**Od tamtej pory minęło 45 lat...**

■ Aktorstwo jest zawodem bardzo niewdzięcznym. Póki aktor jest sobą oszłomiony, bo odkrywa się w tym zawodzie, nie czuje niebezpieczeństwa, a potem trzeba przejść z jednego emplotu w drugie i trzeźwiejemy. Zaczynamy dostrzegać, że w innych zawodach doświadczenie, które się zdobyło, procentuje. A tu coś ulatuje bezpowrotnie. Już nie zagra się Szekspirowskiej Julii, Iriny w „Trzech siostrach”, Panny Młodej w „Weselu”.

■ Nie mogę się nadziwić tym 45 latom – że ta liczba tak szybko się pojawiła. Że tak krótko to trwało, choć wszystko się po drodze pozmięniało, poprzewracało, przybyło, że choć jestem już zupełnie inna, a przecież równocześnie ciągle ta sama. Że nie jestem już aktorką, lecz tylko bywam nią.

**Czy Pani kiedykolwiek wzięła udział w castingu?**

■ Sama, z własnej inicjatywy nie. Zachowuję się według norm mojej epoki. To nie było w zwyczajach. Praktyka mojego pokolenia nie wyczuła nas takiej aktywności. To był inny czas. Ani gorzej, ani lepiej. Inny.

**Jednak za taką postawę się płaci.**

■ Może przyszedł czas zapłaty za wszystko dobre, co było. Jestem realistką. Akceptuję wszystko, co życie niesie. Nie należy tylko zatrząskiwac za sobą drzwi. Moje są ciągle otwarte. I wciąż coś przez nie przychodzi.

Rozmawiały

BEATA KĘCZKOWSKA  
I DOROTA WYŻYŃSKA

Wywiady „Gazety Telewizyjnej”  
w internetowym portalu „Gazety”:  
[www.gazeta.pl/tv](http://www.gazeta.pl/tv)

**CZYM ZMIERZYĆ SIĘ  
Z KONKURENCJĄ  
– SZEF POLECA**



**PIOTR WALTER**  
prezes TVN

Od niedzieli „Big Brother – eliminacje” – przez cały tydzień widzowie TVN będą mogli decydować o tym, kogo zobaczą w drugiej edycji programu „Big Brother”.

W niedzielę zobaczymy także finał „Ekspedycji” (o 21:00).

Z propozycji filmowych polecam m.in. dwa znakomite tytuły. W sobotę o 21:50 „Imię Róży” w reż. Jean-Jacques’a Annauda – adaptację głośnej powieści Umberto Eco. W obsadzie: Sean Connery, F. Murray Abraham, Christian Slater. A we wtorek o 20.30 „Misery” – dreszczowiec według powieści mistrza sensacji Stephena Kinga. Mocne wrażenia, napięcie, doskonałe aktorstwo.

not. M.K.